

ALEKSANDER
ŚWIĘTOCHOWSKI

KLEMENS BORUTA

Aleksander Świętochowski

Klemens Boruta

«Public Domain»

Świętochowski A.

Klemens Boruta / A. Świętochowski — «Public Domain»,

Nędza to niewielka wioska na śląsku. Nędzę ma nie tylko w nazwie. Piszcząca bieda zatruwa umysły, rzuca się cieniem na relacje międzyludzkie, rozbija solidarność. W Klemensie Borucie Świętochowski zastanawia się, jak silne muszą być więzi międzyludzkie żeby przetrwać stan skrajnej biedy. Kiedy głód przyciśnie i talerz zupy z odpadków stanowi o przeżyciu bądź śmierci, dzielenie się z innymi przychodzi z najwyższym trudem. Smutny, ale optymistyczny w swoim przesłaniu obraz życia na dolnym śląsku. Aleksander Świętochowski był wpływowym przedstawicielem postępowej inteligencji warszawskiej końca XIX wieku. Jego esej Praca u podstaw był jednym z fundamentów, na którym kształtował się pozytywistyczny system wartości. W opowiadaniach Świętochowskiego widoczne jest silne zacięcie dydaktyczne.

Aleksander Świętochowski Klemens Boruta

Nędza należy do tych niewielu szczęśliwych wiosek Górnego Szlązka, które dotąd zachowały swą polską nazwę. Wyznać jednak trzeba, że ani landrat, ani prezes rejencji, ani nawet minister spraw wewnętrznych, w połączeniu z ministrem sprawiedliwości, nie kusili się o przemianę jej rodzinnego imienia. Podczas gdy Raciborze, Lublinice, Olszowy i inne miejscowości otrzymały, bodaj w pisowni, przymusowy chrzest germański, Nędza pozostała nietknięta. Nie można bowiem liczyć tego za szkodliwy uszczerbek, że boska mowa landratów, nie znajdując w swem abecadle samogłoski nosowej, zastąpiła ją spółgłoską płynną i z Nędzy zrobiła **Nendzę**. Ludowi natomiast nawet królewsko-ziemiańska rejencja pozostawiła zupełne i niczem nieograniczone prawo używania **Nędzy**.

Naturalnie korzystał z tego prawa i Klemens Boruta, którego ród od wieku blisko mieszkał w Nędzy i który był najlepszym świadectwem wiarogodności nazwiska wioski. W rodzie tym bowiem umarło z głodu 15-tu członków, najślawniejszym jednakże między nimi był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił na sidła wrony, których mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbli nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleźć dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne bóleści. Przekonany, że lis był strychniną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec, zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą. Ponieważ nie przypuszczano, ażeby w jego żołądku coś być mogło, więc sąsiedzi zdecydowali, że zmarł. Na opinii tej poprzestał lekarz obwodowy i my również zgodzić się na nią musimy.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się z nim swoją strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiośnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sute biesiady. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótł on zwykle w zimie bardzo ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

– No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swoim nowym dymkowym ubraniu wyszedł, płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

– A, hultaj jesteś – zawołał rozgniewany stary – ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nie tyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potulawszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przyjezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

– Zawzięty kaduk! – mrucał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zamarł gdzie? Nie przyszedłby-to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorzynałem. Psy pożrą...

Pomimo że dorzynanie baranów w Nędzy musiało szeroko i ponętnie rozbrzmieć w okolicy, młody Boruta się nie pojawiał. Brzost długo jeszcze wywiadywał się, nareszcie machnąwszy ręką, całkiem o *kerlu* mówić przestał. Upłynęło lat siedem. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza, zagadnął go:

- To i mamy napowrót Klimka.
- Jakiego Klimka?
- No, juści Borutę, tego, co z wami zimował.
- Jest tutaj?
- A jaki **fryc!** Nie poznalibyście go. Zgodził się do pług.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

- Dam po łbie batem, jak tu zajrzy – szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście, wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad którymi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

- *Morgen!* – zawołał junacko.
- A co to – krzyknął Brzost – nie widzisz, że tu słoma – z cygarem wchodzisz!
- Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek – odrzekł Boruta, nadrabiając miną.
- Pójść stąd, żebyś go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

– Czemuż to dziadek – rzekł, zbliżając się łagodnie – tak mnie wypędza, jak wilka. Przecież wam drzazeg za paznokcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

– Kazali! – krzyknął stary – juźci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

- Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

– O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Juźci, pan taki – to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę: do nogi. Pal dyabli głupich.

– Ja, pan? Bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodziać. Nie gadalibyście po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lażłem, zanim wylazłem, ile się szczeblów złamało...

– Zkądże miałem wiedzieć – rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

– O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła – mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie skosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem; w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła; z banhofu za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

- Ciężko, ciężko – zauważył Brzost już bez śladu złości.

Klemens nie potrzebował wcale być przenikliwym psychologiem, ażeby z ostatnich słów zgadnąć, że stary jeżyć się przestał. Podsunął się więc bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sieroczej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

- Nie było ci – zawołał wreszcie – trzymać się kopalni!
- A toż trzymałem się – odrzekł Boruta – póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrział na swego wychowańca i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki nosowej.

- Długo chorowałeś?

– Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach, świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

– A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po maść, to feniga nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukrećę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, *durch* do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

– To cię opadło ze wszystkich stron – mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką postłania.

– A no! – rzekł Boruta – może przecie koniec. Mnie i świdra dyabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykrećę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stłoczyło.

– Myślałeś, że piernik – rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczeekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kacie.

– Nie pójdziesz ty darmozjadzie! – krzyczał owczarz na Burka, nie uwzględnivszy jego słusznej racji gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, co mniejsza, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza obojętnem nigdy nie było i teraz być nie mogło.

– Na zdrowie twoje – rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

– Na wasze – odpowiedział Klemens i pożądlivie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

– Ostra! – rzekł, przymrużając oczy.

– Trzmielówka – mówił stary z widocznem zadowoleniem. Sam sobie ją przyprawiam. Biorę okowitę od Katzera, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych gałek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

– Ho! ho! – podziwiał Boruta.

– Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj dorznąłem – motyllica precz dusi.

– Co ma tłusty połeć smarować, lepiej, że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

– Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Jużci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

– Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

– Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkódniki, aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto ucha nie wyciąga. Nie?

– Niema nikogo.

– Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołązny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

– Czuć macierzankę – rzekł Boruta, smakując.

– Jakby człowieka połehtało – prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Ciebie przechodzi? – Bo mnie już podbiera. Kisiel, ten, wiesz, z pod kuźni, robi jakąś siarkówkę, ale nie umywała się, chociaż na nosaciznę niezła. Ho, ho! niedoczekanie, żeby moją

trzmielówkę kto dobrał. Owczarz zna zioła. Przychodzą do mnie z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płąć, bo spirytus w rzece nie płynie, a cynamon na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanalió kość i ty podjedz. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie niewiele zostało.

– Jak umierzył – rzekł Brzost – trzymając flaszkę do światła. Mamy gęby równe, jak kieliszki, ha, ha, ha! – jak kieliszki – półkwartki! Mnie dwudziestu zębów brak, to i gęba powinna być większa. Dwa przeszłego roku sobie wybiłem. Szelma Burek, wypłoszył w polu małą kuropatkę, ja za nią, on mi pod nogi, potknąłem się i rznąłem zębami o kamień. Poszedł psie, poszedł Klein, a zbój! Weg, weg!... owce zrosił! Cóż to one kopyt nie mają, w butach chodzą lepszych niż ja, bo bez dziur. Hu – ha!

– Hu – ha! powtórzył, zataczając błędnym wzrokiem Boruta i zaśpiewał:

Moja gąsko, stąpaj wąsko...

Moja sroko, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnąłbym...

– Ba, rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na posłanie i przymykając radośnie załzawione oczy.

– Pójdziemy do karczmy, dziewczek nałapiemy po drodze, jeśli nie będzie muzyki, to będziemy szczękać szklankami. A gardło od czego? Od picia – to będę pił, od śpiewania – to będę śpiewał.

Moja gąsko, stąpaj wąsko...

– Moja! – wtórował Brzost, dmuchając przez nastroszone wąsy.

– U nas było dziewczyn huk, tylko lucyfer nie pozwalał. Szymonie, w wasze ręce.

– W ręce! – odbił echem owczarz, ale ująwszy butelkę, nie mógł jej do ust ponieść i na nodze oparł.

– Tam na tańcu – mówił, skłaniając się do Brzosta Klemens – podbiłeś się, tu i nagniotek nie zaboli.

Przebieraj, przebieraj,

Żeby ci nie przebrał...

– Brał! – szepnął owczarz chrapliwie.

– Born nie wyfrunie mi z garści – bełkotał Boruta – ja go jeszcze ścisnę!

Ścisnąłem Marysię,

Że aż mi się zgięła...

Aa! Burek, psia wiara! No, Brzoście, pójdziemy do karczmy; prawa w górę, lewa na dół...

Moja gąsko...

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. I Boruta również rozpocząwszy daremnie kilka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek zbliżył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mieszać z wyziewem nawozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Zdziwione owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, który podejrywał je o złe zamiary względem pana, a nadewszystko względem ukrytej w posłaniu baraniny, odpędził je natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął

obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki, ale cofnął się, kichnął i pokręcił nosem, jak gdyby z Borutą mówił:

– Czuć cynamon!

Gdy Burek, naśladowując pana, syt baraniny, również usnął, gdy odstraszone jego warczeniem i wonią trzmielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słomie jasny potok wrześnieowego światła. Na podwórzu również nie odzywał się żaden hałas, jak gdyby dla nieprzerwania błogiej drzemki dwu ukołysanych przez trzmielówkę przyjaciół.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbił się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuszy, w kurtce i dużym kapeluszu, młody mężczyzna. Rozejrzał się na około, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wzgardliwie grube wargi, nałożył binokle i mruczał.

Tak nie naigrawałby się ze śpiących Jowisz, ale naigrawał się Gerhard Klein.

Zbyt wina śpiących była niewątpliwą i zbyt surowy jej sędzia był pewnym efektu, ażeby nie miał ociągać się z rzuceniem gromu. Stał więc przez chwilę na progu, mierzył Borutę i Brzosta wzrokiem, z którego przebłyskiwały uczucia gniewu, szyderstwa lub zadowolenia. Nareszcie, jak gdyby mu szczęśliwa myśl błysnęła, cofnął się na podwórze, a spostrzegłszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego:

– Brzost leży chory – rzekł z drwiącym uśmiechem. Wypędź owce na pole po cichu, żeby go nie obudzić i *hiite bis Abend*, tam *rechts* od lasu.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdjął ze ściany bicz i zaczął po cichu wyganiać owce, ku wielkiemu zdziwieniu Burka, który wyskoczył z legowiska, spojrzął to na śpiącego pana, to na przywłaszczyciela jego berła, chciał zaprotestować, ale widząc swą bezsilność, wybiegł tylko na podwórze i wrócił, jak gdyby mówił:

– Brzoście, i ty na taką zniewagę pozwolisz?

Brzost pozwalał, bo spał. Nagle rozległo się na podwórzu trzaśnięcie z bata. Owczarz, który odgłosy swego biczka znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein, nie chcąc stracić obmyślanego efektu przebudzenia, zawołał po niemiecku:

– Nie przeszkadzać panom!

Ockniony już do połowy, a przytem wrażliwy na głos rządcy Brzost, zerwał się w przerażeniu.

– Co pan każe? – spytał.

– Nic, szanowny panie Brzost – odrzekł ironicznie Klein – ja tylko upominałem chłopaka, co owce popędził, ażeby śpiących panów nie budził.

– Owce popędził? – wybełkotał strwożony starzec, oglądając się po pustej owczarni. – Zdrzemnąłem się chwilę, jagniaki musiały odpocząć. Burek, psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, bodaj cię...

Kopnął psa, który zaskowyczał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

– Panie Brzost! – zawołał rządcą.

– Co pan każe?

– Powtarzam, że ja panu nic nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan, przespawszy się, poszedł ze swoim towarzyszem na przechadzkę.

– Co to ma znaczyć, proszę pana?

– To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pasał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

– Alboż...

– Milcz, zabieraj swoje łachmany i precz!

Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

– Łotrze! – krzyknął Klein – to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajać, owczarnię zaswędzać jakąś śmierdziuchą! Oddawaj zadatek i wynoś się gałganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozpraszała, nareszcie nachylił się poziomo i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł w znak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

– Zbój – krzyczał, dźwigając się, rządcą – łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

– Ja cię, zbrodniarzu, przebodę – wołał siny z gniewu Klein – ty nie wiatr, nie uciekniesz! Ha! podle gnaty polskie! I ty może myślisz łbem rozbijać? – wrzasnął do stojącego pokornie Brzosta.

– Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę – odrzekł spokojnie owczarz.

– Wy wszystko równo – mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Ha, ryj, ja go obciąć będę. Pamiętaj Brzost, że przed sąd przysięgniesz! Ty w Boga wierzysz – co?

– Zawsze.

– No, jeśli ty w Boga wierzysz, to u sądu powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo wina swoja znasz.

Owczarz nisko skłoniwszy się, odszedł w pole. Klein udał się do dworu – a gdzie był Boruta?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.